

WOJCIECH SAMOLIŃSKI

ur. 1953; Gdańsk



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	„Spotkania. Niezależne Pismo Młodych Katolików”, niezależny ruch wydawniczy, opozycja w PRL, technika powielania

Sposoby powielania nielegalnych wydawnictw oraz organizowanie bezpiecznych miejsc

Pierwszą książkę, czyli „Polska w orbicie Związku Radzieckiego”, drukowaliśmy na „wałkach”. Wałek od pralki z dwoma łożyskami jeździł po takim przekładańcu: najpierw była szyba, potem warstwa flaneli nasączona twardą farbą drukarską, potem była warstwa stilonu, który był nie do kupienia, więc trzeba było kupować fartuchy, cięte następnie do odpowiedniego kształtu, potem leżała matryca białkowa, a na niej kartka papieru. Po tym przejeżdżał wałek i wyciskał od spodu farbę na kartkę. Na ogół była to praca dwuosobowa. Ktoś podkładał – na ogół była to dziewczyna, bo one sprawniej to robiły – a chłopak przejeżdżał wałkiem i odkładał kartkę lewą ręką pod wiszący nisko nad stołem grzejnik, żeby ją dosuszyć. Po kilku godzinach takiego odkładania lewa ręka była dość gruntownie poparzona. Taki dodatkowy, uroczy element tej zabawy.

Pierwsze książki były w ten sposób drukowane: Bukowiński, Madej. Nawet pierwsze numery „Spotkań” w ten sposób były drukowane – czwarty i szósty numer. Żmudna była to metoda, ale dosyć skuteczna. Właściwie wszystko, co potrzebne było do druku, można było zdobyć. Wtedy nic się nie dało kupić, natomiast można było albo ukraść albo dopaść, a nie były to rzeczy bardzo trudne.

Począwszy od siódmego numeru „Spotkań”, jeżeli dobrze pamiętam, były one drukowane na ręcznym powielaczu Roneo Vickers, który zresztą wpadł w ręce milicji w 1980 roku, kiedy został pożyczony Piotrkowi Tomczakowi z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Na tym ręcznym powielaczu tempo nie było wiele szybsze niż na wałkach, natomiast uciążliwością było to, że stukał.

Przełomem, jeżeli chodzi o tempo druku, było ściągnięcie powielacza elektrycznego. Odbierałem go od Andrzeja Czumy, który zresztą nie chciał go oddać, twierdząc, że to ich powielacz, ale jakoś dał się przekonać i oddał. To był pierwszy elektryczny powielacz Roneo Vickers i ten już drukował w przyzwoitym tempie, można było z

niego osiągnąć nawet siedemset odbitek na godzinę.

„Ronejka” za głośno pracowała. Strasznie to huczało. Wpadłem na pomysł, jak rozwiązać problem bezpiecznego drukowania. Pomysł był stosunkowo prosty. Było to po powstaniu niezależnego ruchu chłopskiego [Janusza] Rożka w Milejowie w 1978 roku. Nawiązałem kontakty z chłopami i poprosiłem ich o to, żeby udostępniali miejsca do druku. Ten, z którym rozmawiałem, nie bardzo mógł, ale skontaktował mnie z takim wtedy już mocno starszym panem, który nazywał się [Stanisław] Maiński, który był żołnierzem „Zapory”. Odsiedział dziesięć lat, wyszedł w 1956 r. i w środowisku, jak myślę, byłych „meliniarzy” Zaporczyków miał bardzo dobre kontakty. Jeździłem do niego i mówiłem: „Panie Stanisławie, potrzeba mi miejsca do druku”. Pan Stanisław wyjmował banknot, przerywał go na pół, dawał mnie pół, mówił, żeby z tym banknotem stawić się np. na placu buraczanym w Cycowie 17 maja o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści. Jechałem tam, o dwudziestej drugiej trzydzieści z lasu wynurzał się tajemniczy człowiek, miał drugą połówkę banknotu i mówił mi, że najbliższy raz będziemy drukować – i tu wymieniał rozmaite miejscowości między Kraśnikiem a Łęczną. Trzeba było dowieźć tam powielacz i papier, potem przyjeżdżali ludzie.

Często ci „meliniarze” to byli bardzo biedni ludzie w bardzo biednych chatkach. Kiedy jeździliśmy do nich, to pracowaliśmy na okrągło. Aby się jak najmniej kręcić, to przyjeżdżaliśmy i siedzieliśmy, aż wydrukujemy cały nakład. Zdarzyło mi się na przykład przepracować siedemdziesiąt dwie godziny, czyli równo trzy dni spędzić w kuchni, z której rano gospodarze wychodzili, przez cały dzień coś robili, na noc wracali, jedli i spali w tej kuchni, a ja z jeszcze jednym kolegą cały czas tłukliśmy w kąciku powielaczem kolejne strony. I to bardzo dobrze funkcjonowało.

Po wydrukowaniu nakład był przewożony do miasta. Na ogół w bardzo krótkim czasie staraliśmy się w jakimś mieszkaniu poskładać numer, czyli pracownicy zebrali wszystkie strony w komplet i zszyć. Wtedy praca była skończona. Tę pracę robiliśmy już w Lublinie. Trwało to zwykle następne czterdzieści osiem godzin.

Uważam za swój sukces w walce ze Służbą Bezpieczeństwa, że nigdy to nie wpadło. Oni nigdy nie złapali drukarni. Chociaż raz w Majdanie Kozickim zaraz po 13 grudnia 1981 r. była rewizja w takim opuszczonym domu, wskazanym nam przez Maińskiego, natomiast my z tego domu wyprowadziliśmy się ostatecznie dwa lata wcześniej. Albo był donos, albo któryś z ludzi, który tam drukował, był niedyskretny i komuś o tym powiedział. W każdym razie esbecy znaleźli tam tylko trochę śmieci po nakładzie z 1978 roku. Czyli była to bardzo skuteczna metoda.

Wpadła też część nakładu książki Simone Weil, ale to przez przypadek, natomiast żadna z drukarni i żadne z miejsc składania nie zostały nigdy złapane na gorącym uczynku. Kilkaset egzemplarzy książki Simone Weil znajdowało się u Ani Bazel, one nie powinny tam leżeć, a przynajmniej nie powinny leżeć tak długo, bo u Anki mogła być rewizja. O szóstej rano przyszedł kpt. [Stanisław] Szacoń i, szukając zresztą czegoś innego, znalazł książki, które skonfiskował.

Data i miejsce nagrania	2005-05-18, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Nowosad, Piotr Krotofil
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”